

ŁÓPTA - DZIEŃ TRZECI

Ostatniego dnia pozwoliliśmy sobie na przywłaszczenie loga Łóptaka. Mamy nadzieję, że nie zdradziliśmy ideałów ani bogatej tradycji i pracy wszystkich przed nami. Apelujemy o wersję drukowaną na przyszły rok, gdyż Łópta bez Łóptaka jest jak spektakl bez publiczności, a z dostępem do internetu w ŁDKu trudno ;)

Wszyscy recenzenci bardzo dziękują za tegoroczne spektakle. Cieszymy się, że mogliśmy w nich uczestniczyć i dziękujemy Ośrodkowi Teatralnemu za pozwolenie na wyrażenie własnej opinii. Pamiętajcie - najlepsza motywacja do działania nie zawsze ma postać pochwały. Wiemy to po sobie. W przyszłym roku my też wysuniemy się w blasku światła prosto pod lufy recenzentów.

A Wy działajcie dalej, uczcie się i wykorzystajcie wszystko jako motywację do robienia lepszego, bardziej świadomego i przede wszystkim - SWOJEGO teatru.

Turnus mija a ja niczyja!

Grupa Teatralna Dorosłych „My młodzi” z Radomska postanowiła nas przekonać, że niezależnie od wieku ludzie wciąż mogą mieć chęć na zabawę. Spektakl „Bo zawsze warto mieć nadzieję” opowiada o pragnieniu przeżycia drugiej młodości. Może i życie dało Ci w kość, ale przecież nadal możesz spróbować przeżyć je z uśmiechem na ustach. Wbrew pozorom to, że masz więcej niż czterdzieści lat, nie oznacza iż powinieneś jedynie siedzieć w domu, oglądając kolejne odcinki oper mydlanych w telewizji.

Do pewnego sanatorium w Ciechocinku (tak, TYM Ciechocinku) trafia Ola. Kosmicznym zbiegiem okoliczności spotyka na miejscu Klarę i Alę. To nie jest jakiś tam zwykły zbieg okoliczności, to predestynacja! Wszak jak inaczej wytłumaczyć, że Ola spotyka przyjaciółki kolejno z liceum i ze studiów. A dodatkowo wiele lat temu chłopak Klary zostawił ją dla... Oli. No cóż, przyznacie sami, że nie brzmi jak zwykły przypadek. Na szczęście konflikt udaje się zażegnać i można spokojnie rozpocząć planowanie wypadu na wieczorek taneczny. W zasadzie jest to oś fabuły i wszystko kręci się naokoło właśnie tego. Prowodyrem jest Ola, która bardzo by chciała poznać kogoś nowego, najlepiej jakiegoś statecznego mężczyznę. Takiego porządnego, z którym mogłaby dzielić swe życie. A jak wiadomo o to najłatwiej na wieczorkach tanecznych przy sanatoriach. Klara i Ala przystają na ten pomysł i w zasadzie już by można wyruszać, niestety pojawia się problem w postaci kierowniczkii sanatorium. Otóż Matylda jest bezwzględnie przeciwna wieczornym wypadom kuracjuszy. Twórcy postanowili bardzo podkreślić stanowczość Matyldy poprzez wplecenie do jej replik słowa „kategorycznie”. I nie, nie jeden raz na jakiś czas. W zasadzie jest to ulubione słowo naszej kategorycznej kierowniczkii. W zasadzie pojawia się ono częściej niż przecinki w moich recenzjach. Pojawiają się również inni uczestnicy turnusu jak: szczęśliwe małżeństwo, Adam-fizjoterapeuta, czy siostra Joanna. Nic to, trzeba działać. Wspomniane trio przygotowuje kilka koncepcji, niestety ich realizacja okazuje się trudna. A jedna próba kończy się nawet w dość opłakany sposób. Na szczęście możemy liczyć na happy end a sama Matylda okazuje się kobietą dość wyrozumiałą, choć pełną kompleksów. I to właśnie one były powodem dla którego chowała się pod maską stanowczej służbistki.

No i to by było na tyle z fabuły, nie jest ona wyszukana, ani skomplikowana. Oczywiście jest jeszcze kilka innych wątków, jeżeli jednak chcesz je Drogi Widzu poznać, będziesz zmuszony udać się na spektakl sympatycznej grupy dorosłych. Pojawiają się refleksje dotyczące życia, które można wysnuć dopiero w pewnym wieku, niestety są one zmarginalizowane i przysłonięte przez wspomniany temat przewodni. A szkoda, wielka szkoda. Bardzo lubię słuchać tego co mają do

powiedzenia starsi ode mnie i często są w stanie powiedzieć wiele bardzo mądrych rzeczy. Jednak z drugiej strony ten spektakl w założeniu miał być komedią, toteż faktycznie winien być lekki i przyjemny.

I jak? Był? Zapytacie. Spieszę z odpowiedzią, że nie. Lekki tak, przyjemny już mniej, a komediowy to w zasadzie wcale. Owszem, scena w której kuracjuszki w rytm charakterystycznego motywu z Mission Impossible przygotowują linię z prześcieradeł może swym absurdem bawić. Szczególnie, że planują wyskoczyć z okna na parterze. Jednak w pozostałych miejscach było dość ciężko o uśmiech.

A dlaczego nie był przyjemny? Niestety tutaj problemem była strona techniczna spektaklu. Baaaaaaardzo długie blackouty podczas których zmieniano scenografię, uzupełnione tym samym utworem o Ciechocinku, były męczące. Dodatkowo niezwykle rozbijały rytm spektaklu. W zasadzie to go zupełnie rujnowały. Dodatkowo rzeczony blackouty zgrywały się z świeceniem latarek w kulisach. Muzyka natomiast potrafiła urywać się w pół taktu, ewentualnie być puszczana od połowy taktu. Tego typu mankamenty strasznie wybijają widza i utrudniają odbiór spektaklu. Ze spraw technicznych cieszyć może jednak jedna rzecz. Dzięki temu iż kiedyś młodzież przykładała większą uwagę do języka polskiego, nie mamy problemu ze zrozumieniem słów wypowiedzianych przez aktorów.

Reasumując cieszy mnie fakt tworzenia spektakli przez ludzi z różnych grup wiekowych. Niezależnie czy jesteś dzieckiem, nastolatkiem, dorosłym, czy seniorem, zawsze jest dobra pora na tworzenie teatru. Jednak jest to materia bardzo wrażliwa i trudna do opanowania. Wymaga pracy i prób. Często nieudanych, jednak i takie są potrzebne. Dzięki temu dowiadujemy się w którym kierunku zmierzać, jaki jest tak właściwie ten „nasz” teatr. Nasz czyli ten, który chcielibyśmy tworzyć i sami oglądać. Rozwijamy się przecież przez całe życie, taka nasza natura i bardzo dobrze. A niewątpliwie twórcy z Grupy Teatralnej Dorosłych mają ku temu chęci, nie boją się wyzwań i mają bardzo dużo pozytywnej energii.

Remigiusz Pilarczyk

Ocena widzów: 4/5

Ocena recenzenta: 3/5

Kasia nie wątp

Spektakl „Alea ilinx, czyli los sytuacionos” łódzkiego zespołu oparty przede wszystkim na ruchu. Słowo „ruch” używam nie bez powodu, bowiem przedstawienie nie korzysta z budowania scen choreograficznych, tanecznych, bądź metaforycznych konstrukcji ruchowych. Wykorzystuje jednak organiczne generowanie materiału ruchowego w formie gry, zabawy, na skutek wewnętrznego bądź zewnętrznego impulsu.

Holenderski uczony Johan Huizinga zalicza zabawy do jednego ze źródeł kultury i określa ją jako działanie dobrowolnie dokonywane w ustalonych granicach czasu i przestrzeni według pewnych reguł.

Charakter wspomnianej zabawy a raczej konstytuujących ją zasad zespół dookreślił już w samym tytule używając słowa „alea”- świadczącym o przypadkowości losu oraz „illinx” jako dążenie do oszołomienia, odczucia transu po to by rzeczywistość straciła swe prawa. Te dwa słowa określają różne klasyfikacje zabaw jakich dokonał Roger Caillois, natomiast w spektaklu współistnieją.

Zacznijmy jednak od początku, aktorzy rozpoczynają spektakl wyliczanką ustalającą role w dalej realizowanej zabawie, gdzie można było manipulować osobą bądź być manipulowanym przez inną. Osoby te były połączone linką, która to z każdym pociągnięciem dawała impuls, który w rezultacie

powodował reakcje u partnera w parze. Może nieco niechęć buduje się pewna symbolika dotycząca statusu istoty ludzkiej manipulowanej przez inną, jednak charakter zabawy, pozwala na zupełnie odmienne odczucie tej sytuacji, tym bardziej że widz również zostaje do niej wciągnięty i może sam „pociągać za sznurki”.

Istota zabawy zmienia się kiedy ta nieco się zużywa i kolejno widzowie mogą czytać fragmenty książek, które są rozdane przez aktorów. Po co? No właśnie widzowie ingerują i wpływają na przedstawiony świat bowiem owe fragmenty są dla wykonawców inspiracją do generowania kolejnych zdarzeń oraz materiału ruchowego. Wszystko dzieje się tutaj w pewnym procesie, który określiłbym z języka angielskiego jako „near real time”, polegającym na przetwarzaniu informacji z czasu rzeczywistego do kreowania innych w odmiennej rzeczywistości, w pewnym opóźnieniu. Ciało w tym momencie są wyczuwane i gotowe, aktorzy skoncentrowani a rezultat powstałych działań jest wynikiem ich kreatywności.

Mogłoby się wydawać, że skoro spektakl oparty jest na improwizacji to niesie ze sobą ryzyko związane ze zniszczeniem dramatycznej struktury. Jednak nie w tym przypadku. Zespół zadbał i o to gdyż wyczuwalne są bowiem znaki, bądź punkty pchające wydarzenia dalej są to np. motywy muzyczne, które wyznaczają aktorom przejścia do kolejnych sekwencji zdarzeń. Całość jest realizowana w bardzo lekki i przystępny sposób, co również przemawia za pozytywnym odbiorem tej propozycji i bez wątplenia była to realizacja, która zwraca na siebie uwagę z racji na swoją odmienną. Jednak ciężko tu mówić o jakiejś warstwie złożonego przekazu, jakiejś wypowiedzi która byłaby przedstawiona mnie jako widzowi, z tej właśnie racji odczuwam pewien niedosyt.

Kamil Bończyk

Ocena recenzenta: 4,0/5

Ocena widza: 4,7/5

Niepotrzebna rozprawa

Marcelina Falińska-Toboła, z Publicznego Liceum Uniwersytetu Łódzkiego w Łodzi, postanowiła zebrać grupę ludzi i zrobić z nimi sztukę, którą sama napisała. Przedstawienie stanowi alternatywne zakończenie „Mistrza i Małgorzaty”, w którym tytułowi bohaterowie muszą zmierzyć się z moskiewską rzeczywistością i stawić się na rozprawę sądową przeciwko nim samym.

Po co to? Dlaczego to? Nie mam pojęcia. I chyba sami twórcy też nie wiedzą. Wydają mi się, że jedyną osobą, która przeczytała powieść Michaiła Bułhakowa, była reżyserka spektaklu. Aktorzy byli sztywni i bez życia. Wszyscy grali na jednym poziomie i to samo. Myślę, że aktorka grająca Małgorzatę mogłaby spokojnie zagrać Mistrza, a i tak nikt nie zauważyłby różnicy. W ty ona sama.

Przeszkadzały mi role kobiet, które wcielały się w postaci płci męskiej. Już nie chodzi mi o grę, a jedynie o drobne elementy, które raziły i zdradzały zbyt wiele, jak na przykład poprawianie „sznurków” przy nadgarstku czy piłowanie/oglądanie paznokci. Nie wydaje mi się, żeby Korowiow był do tego zdolny.

Podoba mi się to, że zebrała się grupa ludzi, którzy chcą robić teatr i ta grupa jest naprawdę spora. Podziwiam reżyserkę, która nie dość, że sama napisała tekst i wyreżyserowała sztukę, to musiała pracować z grupą prawie 20 ludzi. Ludzi, którzy są w jej wieku. Gdyby tylko pomogli swojej koleżance, to mogłoby powstać coś fajnego. Skoro nie chce im się czytać książki, na podstawie której opiera się ich przedstawienie, to może powinni wziąć coś łatwego. Gotową sztukę nad którą mogliby pracować. A przede wszystkim popracować nad tworzeniem postaci. Porozmawiać, zadawać pytania, pomóc sobie nawzajem. Mam nadzieję, że za rok przygotowują nowy spektakl, w

którym zobaczę aktorów, którzy wiedzą kim są i o czym mówią. W tym niestety mi tego zabrakło.

Jakub Lisiak

Ocena recenzenta: 1,5/5

Ocena widzów: 4,5/5

Sztuka konwersacji

Postawiłem się w niezręcznej sytuacji. Biorąc na siebie przyjemność napisania recenzji do spektaklu Zespołu Śpiewaczo-Obrzędowego z Ożarowa nie sądziłem, że przyjdzie mi oceniać najbardziej doświadczoną i wielokrotnie nagradzaną grupą tegorocznego przeglądu. Drodzy widzowie, przed nami wystąpił zespół, który pierwsze spektakle zaczął wystawiać rok po moich narodzinach! Zakładam więc swoją czapkę pokory i spróbuje wybrnąć z tego zadania z należyłym szacunkiem dla teatru z Ożarowa.

Spektakl „Miłosierdzie” to najprostsza, w każdym znaczeniu tego słowa, historia na tegorocznej Łópcie. Zbliża się Boże Narodzenie. W domu Państwa XY panuje ciepła, świąteczna atmosfera. Rodzina w komplecie – syn non stop gra na komputerze, ojciec czyta gazetę na kanapie, mama sprząta mieszkanie a babcia z wnuczką szykują ozdoby na choinkę. Ciepło, spokój, może nie idylla – ot klasycznie przeciętna rodzina w najlepszym wydaniu. W sam środek tego spokoju trafia kobieta bezdomna, przyprowadzona z litości przez najmłodszą latorośl. Pojawienie się niezapowiedzianego gościa obnaża prawdziwą naturę domowników i ich podejścia do miłosierdzia.

Śmiało można pokusić się o stwierdzenie że spektakl oscylował bardziej wokół teatru telewizji niż niezależnych poczynań wszystkich zespołów tegorocznego przeglądu. Próżno było szukać jakiejś teatralnej metafory. Wszystko na scenie było dosłowne. Choinka, kanapa, umeblowanie pokoju, dywan (!!!) – nawet syn naprawdę grał w gry na swoim laptopie. Jeśli już pojawiały się jakieś symbole to tylko te literackie – skarpety zrobione na drutach dla wnuczki stały się symbolem obłudy i, jednocześnie, tytułowego miłosierdzia najmłodszego członka rodziny.

Zespół огоłocił więc swój spektakl całkowicie, zostawiając sytuację jeden do jednego. Ta prostota zazwyczaj mnie razi w spektaklach, gdyż najczęściej przykrywa aktorskie niedociągnięcia i brak ogólnego pomysłu reżysera na stworzenie świata. W tym konkretnym przypadku bardzo szybko zaakceptowałem prostotę przekazu. Poza tym, nie miała niczego zakrywać. Doświadczenie aktorów – Wanda Majtyka, 80 letnia aktorka wcielająca się w rolę Bezdomnej, zagrała i wyreżyserowała ponad 20 spektakli – pozwoliło na autentyczny dialog sceniczny. Aktorzy naprawdę rozmawiali i słuchali siebie nawzajem. Jedyna sztuczność jaka się pojawiła, to ta w najmłodszych członkach zespołu. Tym większe wrażenie robiła autentyczność seniorów.

Ten autentyczny dialog stworzył spektakl, którego historia nie należała do porywających. Pointa była za szybka – przyznam się szczerze, że ją przegapiłem, na chwilę spuszczać wzrok ze sceny. Przez to przesłanie spektaklu także mnie ominęło. Jeśli taki młokos jak ja może Wam coś zasugerować, to rozbudowanie ostatniego aktu, tak aby eskalacja konfliktu w rodzinie trwała nieco dłużej.

Do dosłowności użytych środków nie będę się przyczepiał – robicie to od prawie trzydziestu lat. To się sprawdza i jeśli mnie się to nie podoba, to mój problem, a nie Państwa.

A tak poza tym, to była dla mnie wielką przyjemnością móc zaopiekować się Państwem w ŁDKu. I dziękuję za pokazanie mi czym powinien być prawdziwy dialog.

Piotr Maszorek

Ocena recenzenta: 3/5

Ocena widzów: 3/5

O pannie co nie chciała... chłopca

Doskonałym przykładem ogromnej różnorodności spektakli wystawianych w trakcie tegorocznego przeglądu był spektakl „Dwie Panny” teatru lalkowego z Żytna Animagia. Grupa przedstawiła historię dwóch tytułowych panien. I tak jak panny były inne, tak inny też był sposób przedstawienia ich historii. Widzowie zostali uraczeni przeplatanyymi scenami, gdzie mogli się dowiedzieć jak ciężko jest być kobietą pracowitą, która nie ma czasu wychylić się ze swojej chaty, ale i ciężko jest być też kobietą leniwą (sic!), którą ciągnie jednak do obcego świata i rozrywek i opuszcza swój dom. I tak jak historia panny, która w domu nie zagrzała miejsca, ze względu na swoją formę budzi zainteresowanie, tak historia panny powściągliwej gdzieś umyka. Ale od początku.

Tematyka, scenografia, stroje i muzyka przeniosła nas daleko w przeszłość, do czasów gdy nasze praprababki zajmowały się gospodarstwem, a pradziadowie w przerwie od wojen i świętowania czasem im pomagali. I to przeniesienie w czasie było ogromną zaletą tego spektaklu. Przez tę godzinę można było naprawdę poczuć woń tamtych czasów. Aż gdzieś w głębi poczułem się dumny z tego, że sam Słowianinem jestem. Historia panny leniwej, za sprawą aktorów w „przepięknych” maskach, ich strojom, scenografii i ruchowi scenicznemu pociągała za sobą, mimo tego, że mogliśmy się domyślić co za chwilę się stanie. I żadne słowa nie były tu potrzebne. Wystarczyło wsłuchać się w muzykę i obserwować obrazy, które pojawiały się na scenie. I przyznam się szczerze, że niektóre z tych obrazów były po prostu „piękne” mimo ubrania ich w odrazę tamtych, innych dla nas czasów.

W kontraście do tych scen pojawiał się wędrowny kuglarz, który wyjmując raz za razem lalki ze swojego kramu opowiadał nam, co w tym czasie dzieje się u panny pracowitej. Lalek przybywało, a akcja... stała w miejscu. Panna pracowita, jak można się było domyślić, pracowała i czasu na harce nie miała. I może byłoby to nawet ciekawe w swojej prostocie, gdyby nie fakt, że kuglarz opowiadał historię byle jak, a lalkami animował od niechcienia. I tu pojawiło się w mojej głowie pytanie. Czy w tamtych czasach owi kuglarze właśnie tak przedstawiali swoje historię w miasteczkach do których zajechali (co może być prawdą, bo przy takim poziomie kuglarstwa ten zawód naturalnie wymarł), czy może po prostu ta część spektaklu była niedopracowana?

W obu historiach pojawiał się element przypadku, który krok po kroku determinował historię obu panien. Historię tragiczną w obu przypadkach. Paradoksalnie jednak, przemyślenie jakie zostanie w mojej głowie po tym spektaklu to: „Lepiej w życiu być leniwym, bo mimo, że to się skończy się jak skończy, to przynajmniej moją historię będzie można ciekawie opowiedzieć”.

Na koniec, podkreślę raz jeszcze dbałość o szczegóły, jaki został nam zaprezentowany w wątku panny leniwej. Każdy rekwizyt był na swoim miejscu, nie było rzeczy zbędnych, a bajkowo-słowiański klimat dało się po prostu poczuć. Na tegorocznym festiwalu nie zabrakło grup, które scenografią i rekwizytami potrafiły podnieść ogólny odbiór swojego spektaklu, ale teatr lalek to jednak teatr lalek. Jeżeli chodzi o „rzeczy na scenie martwe” - nie mieli sobie równych.

Łukasz Przywara

Ocena recenzenta: 3,5/5

Ocena widzów: 3,6/5

Zmiany, zmiany, ZMIANY

Ostatniego dnia przeglądu obejrzelismy trzeci monodram, jaki był wystawiany na Łópcie. Trzy dni - trzy monodramy; wszystkie wykonywane przez kobiety, wszystkie diametralnie różne od siebie. W niedzielę wystąpiła Pani Monika Oliszewska z przedstawieniem pt. „Najbardziej nieoczekiwany mężczyzna mojego życia”.

Są to historie pięciu kobiet opowiadających o swojej relacji z najważniejszymi mężczyznami, jakich spotkały na swojej drodze. Całość ujęta jest w konwencję programu telewizyjnego, w którym bohaterki po kolei przedstawiają własne opowieści. Co zasługuje na uwagę, to fakt, iż główna aktorka osobiście musiała zająć się obsługą techniczną spektaklu. Oczywiście spowodowało się to do rozpalenia świateł na początku. Zabrakło muzyki - zapewne z powodów technicznych - ale Pani Oliszewska zręcznie z tego wybrnęła, tłumacząc to, gdy wcielała się w postać dziennikarki zapowiadającej program. Wspominam o tym, ponieważ takie rzeczy często wytrącają z równowagi i potęgują stres. Tym bardziej plus dla Pani Oliszewskiej za to, że dzielnie stawiała czoła sytuacji.

Niestety, w warstwie scenicznych rozwiązań oraz aktorskiego wykonywania spektaklu, by ująć to delikatnie, „kulał”. Na scenie stało siedem krzeseł: pięć przypisanych do postaci (na każdym z nich leżał kostium przypisany danej bohaterce) oraz dwa zwrócone w stronę widowni (jako miejsce, z których kobiety prowadziły monologi) - takie zdradzenie niuansów, powiedzenie wprost o metodzie mogłoby być uznane nawet za ciekawe, jednak podchodzenie po skończonym do danego krzesła i przebieranie się na oczach widzów wprowadza przewidywalność; szybko nuży. Widzieliśmy moment przeobrażenia się postaci w postać (polegający na zaakcentowaniu tego poprzez zwyczajne zatrzymanie się) oraz zmianę garderoby (momentami trwającą bardzo długo, nieciekawą). Co do samych bohaterek - nie różniły się one zbyt od siebie, posiadały bardzo podobne tempo mówienia (niezależnie od tego, czy mówiła babcia czy pani żołnierz), były wymierzone jedynie kostiumem, a nie emocją czy intencją. Istniały jedynie w formie, nie były obudowane wewnętrznie. Zabrakło w ich historiach (ciekawych zresztą) wzruszenia, radości, zwykłego przeżycia. Całość wyglądała przez to monotennie; nie miała kolorytu, który był zapisany w tekście, nie mieniła się różnorodnością. Bohaterki miały często jeden sposób mówienia (jedna z nich się jąkała, inna zawodziła), mówiły rytmicznie, nienaturalnie.

Podsumowując: w każdej płaszczyźnie czegoś zabrakło. Zmian tempa, zmian wewnętrznych. Jedyne co się faktycznie zmieniało, to kostiumy aktorki. One, niestety, funkcjonowały tylko jako znaki - mówiły widzowi: „aha, czyli teraz jest babcią, bo założyła chustę i przeciąga każde słowo”. Strasznie to stereotypowe i banalne. Szkoda, ponieważ tekst banalny nie był. Pełno w nim humoru, smutku, codzienności. Niestety, nic z tych emocji nie wybrzmiało. A ja o moim recenzowaniu monodramów na Łópcie mogę powiedzieć: „od najlepszego do najgorszego”.

Nikodem "Monodram" Książak

Ocena widzów: 3,6/5

Ocena recenzenta: 2/5

Powróćmy jak za dawnych lat...

Od razu na wstępie zaznaczę swoją stronniczość. Adama Wrzesińskiego, reżysera Teatru Yeta znam, razem wychowywaliśmy się teatralnie i jesteśmy z tego samego teatralnego podwórka. Co prawda nasze artystyczne drogi rozeszły się, ale nie zmienia to faktu że znam wrażliwość „teatru literackiego”, rozumiem ją i po części jestem nią przesiąknięty. Dlatego spektakl „OBRAZKI czyli Frenofagiusz i Frenolesty” przemówił do mnie bardziej niż do pozostałych moich kolegów recenzentów. Postaram się jednak zachować profesjonalnie i za wszystkie personalne sympatie z góry przepraszam.

Na początku bardzo chciałem pochwalić autorkę scenariusza, Ewelinę Woźniak, ze bardzo dobrą adaptację opowiadania Ludwika Szyrmera. Jest to historia literata, który trafia do zakładu dla obłąkanych, w którym rządzi tytułowy Frenofagiusz wraz ze swymi sługami. Opowiadając historie pacjentów, główny bohater szuka inspiracji co ostatecznie doprowadza go samego na skraj obłądu.

Spektakl był grany en ronde - zabieg, który, jak zawsze, bardzo dobrze podkreśla charakter terapeutyczno-szaleńczy. Przestrzeń, ograniczona widzami i bardzo subtelnym światłem, wypełniona została przez cztery aktorki grające Frenolesty. Aleksandra, Maria, Anita i Weronika w swych pięknych kostiumach i jeszcze piękniejszej charakteryzacji, stały się scenografią, którą same na początku spektaklu zniosły ze sceny. Dziewczyny były wszędzie, za widzami, przed widzami, wśród widzów, krążąc, biegając - jeśli istnieje trafna metafora myśli w głowie pisarza, to chyba właśnie taka. Na drugim biegunie mieliśmy Pana Literata, Łukasza Kulińskiego, który stworzył oazę spokoju w samym środku chaosu. Aktor stworzył konsekwentnie poprowadzoną postać i nie zauważyłem w niej niczego wymuszonego czy nadymanego, co często przy tego typu postaciach się zdarza. Szczerze mówiąc, przy zabójczym tempie spektaklu czekałem na jego kwestie, aby chociaż trochę odpocząć od burzy słów i ruchu. Gdzieś w tym wszystkim zagubił się Damazy Stasiak grający Frenofagiusza - pomimo bardzo wyraźnie narzuconej formy, zabrakło w niej charakteru i precyzji.

Jedyny problem jaki widzę w tym spektaklu to jego zabójcze tempo. Rozumiem, że twórcy próbowali przedstawić natłok myśli w głowie literata ale tego typu dosłowność jest niepotrzebna. Spektakl rządzi się swoimi prawami i konstrukcja dramaturgiczna oparta na przyspieszeniach i zwolnieniach służy nie tylko klarowności przedstawianej historii, ale także wygodzie aktorów i widzów. Przy takiej szybkości i złożoności przekazywanych informacji, spotęgowanej przez nietypowe ustawienie widowni, widz dostaje więcej niż potrafi ogarnąć wzrokiem i słuchem. Być może wybranie kilku momentów „na oddech” albo większym skupianiu uwagi na konkretnych bohaterach i momentach (np. przez wykorzystanie światła, w czym Adam Wrzesiński jest moim autorytetem) pozwoli widzom nadążać za opowiadaną historią. Poczują się w bezpiecznych rękach, a tak pozostawiacie ich samych pośrodku nawałnicy słów, obrazów i ruchu.

Mój kolega recenzent słusznie zauważył że jest to spektakl sprzed 15 lat. Rzadko dzisiaj widuje się tego typu stylistykę w teatrze amatorskim. Nie uważam tego za zarzut. Wprost przeciwnie. Bardzo się cieszę, że tego typu charakter pisma będzie kontynuowany. Nie przestawajcie. Piszcie dalej.

Piotr Maszorek

Ocena recenzenta: 4/5

Ocena widzów: 4,6/5